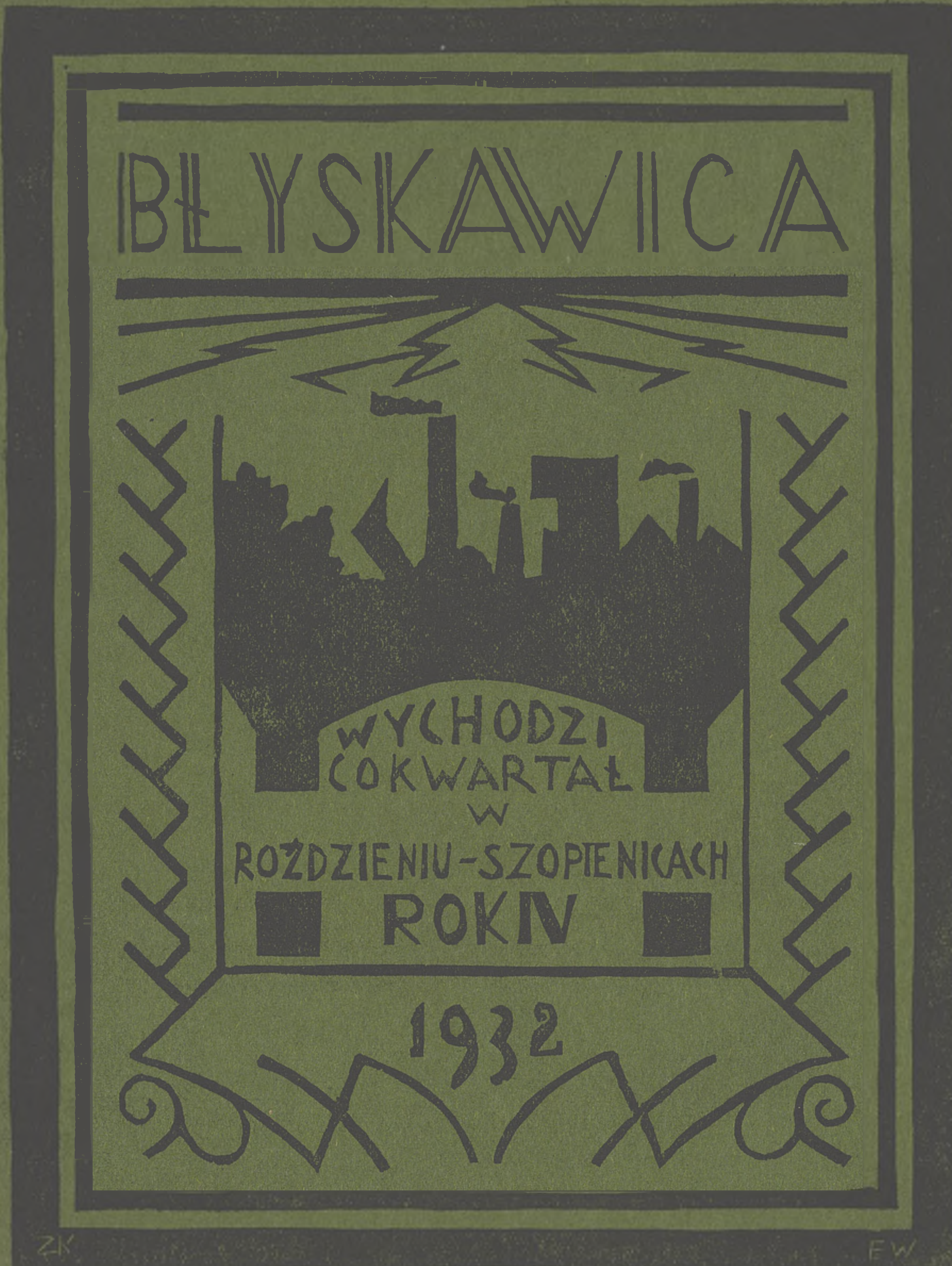

BŁYSKAWICA
WYCHODZI CO KWARTAŁ W ROŻDZIENIU-SZOPIENICACH
ROK IV
1932
ZK
EW

Cena
50 gr.

BŁYSKAWICA

Cena
50 gr.

KWARTALNIK UCZENIC i UCZNIÓW KOMUNALNEGO GIMNAZJUM KOED.
W ROŹDZIENIU-SZOPIENICACH.

PRENUMERATA:	Adres Redakcji i Administracji:	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna . . . zł. 2—	Rozdzień-Szopienice	cała str. . . zł. 20
półroczna . zł. 1.—	ulica 11 listopada, Gimnazjum	pół str. . . . zł. 10
kwartalna . zł. 0.50		ćwiartka . . zł. 5

Nr. 20. Rozdzień-Szopienice, grudzień — styczeń — luty 1932 r. **Rok IV.**

Z przeszłości Będzina.

Zawiązkiem miasta, niegdyś sławnego i bogatego była osada powstała obok zamku zbudowanego na górze w XI wieku. Podanie mówi, że zamek zbudował za czasów Bolesława Chrobrego rycerz Benda, od którego to imienia pochodzi dzisiejsza nazwa miasta.



Położenie grodu wróżyło świetny rozwój. Szły tędy trakty z Krakowa na Śląsk do Wielkopolski, inne łączyły Sławków z Siewierzem i podążały do Wrocławia i Opola. Istniała tutaj również kontrola towarów płynących Przemszą do Wisły, wysoki poziom wody czynił rzekę spławną.

Istniała nawet przewłoka do Warty. Zamek był więc stróżem nad drogami ciągnącemi w okolicy.

Do Kazimierza Wielkiego zamek pozostawał drewnianym. Król, uważając go za doskonały punkt strategiczny po odpadnięciu Śląska, zbudował na miejscu drewnianego grodu potężną warownię z kamienia. Zamek składał się z dwóch części: zamku górnego i dolnego, całość otoczona była potrójnym murem. Pozostałe obok zamku miasto obdarza Król osobnym przywilejem, nadając równocześnie t. zw. prawo niemieckie (właściwie flandryjskie). Obok zamku buduje kaplicę zamkową, którą z czasem przeniesiono na kościół parafjalny.

Miasto, leżące na pograniczu, już w początkach XIV wieku nękane było ciągłemi napadami ze strony zniemczałych książąt śląskich. Zawarta ugoda na długo zapewniła spokój, miasto otrzymawszy nowe przywileje zaczęło swobodny rózwój.

Niemało przyczynił się do tego przywilej Zygmunta Augusta na jarmarki pograniczne. Bogactwo i świetność miasta zajaśniało w całej pełni, gdy 14 lutego 1574 r. witało nowoobranego Króla Henryka Walezjusza.



Wkrótce jednak nad miastem zawisło widmo nieszczęść, kiedy w r. 1588 Maksymiljan, arcyksiąże austrjacki jechał zagarnąć polską koronę królewską. Rozgniewany chłodnem przyjęciem mieszczan będzińskich udał się pod Kraków. Otwarły mu się po raz drugi bramy miasta, gdy jako jeniec przybywał na zamek. W tymże roku miasto kipiało życiem, w zamku

bowiem odbywały się pertraktacje o uwolnienie z więzienia niedoszłego następcy Jagiellonów.

W r. 1616 spłonął zamek i część miasta. Zamek odbudowano olbrzymiem nakładem kosztów, jednak w r. 1655-1656 w czasie napadów szwedzkich po raz drugi pada pastwą pożaru. Wojny szwedzkie położyły kres rozwojowi miasta i skazały je na powolną zagładę.

Ożył jeszcze na chwilę Będzin, gdy gościł w swych murach króla Jana III Sobieskiego, udającego się na odsiecz Wiednia. Gościł również Augusta II Mocnego i Stanisława Augusta, później coraz bardziej zaczęło się chylić ku upadkowi. Ostatnią plagą miasta były wojska rosyjskie, które w r. 1813 splondrowały je, zabierając ostatnie mienie mieszkańców.

W drugim rozbiorze Polski Będzin dostał się Prusakom, zamek oddano na własność jednemu z Hohenzollernów. Hohenzollernowie nie dbali o zamek, to też szybko zamienił się on w ruiny, zagrażające życiu mieszkańcom. Od ostatecznej zagłady uchronił go ukaz z roku 1827. W roku 1833 hr. Edward Raczyński postanowił zamek odbudować. Odbudową zajął się architekt i budowniczy Lanci i już w następnym roku zajaśniał dawnym przepychem, jednak już w roku 1849 pada w gruzy.

Warto choć w kilku słowach przedstawić dzieje obecnej większości miasta. Żydzi przybyli do Będzina zapewne już w roku 1226 gdyż pod tym rokiem wspominają kroniki o pojawieniu się ich na terenie obecnego Zagłębia. Pod koniec tego wieku napłynęła druga większa ich fala. Początkowo trudnili się oni uprawą roli, prędko ją jednak porzucili, chwytając się handlu. W XV wieku napłynęła nowa ich fala z Hiszpanji. Żydzi będzińscy początkowo bardzo byli ograniczeni w swych prawach, dopiero Stefan Batory nadaje im przywilej i prawa mieszkania w śródmieściu i prowadzenia handlu na równo z chrześćjanami. Ilu żydów posiadał Będzin nie wiadomo, jednak już w XVIII wieku stanowili oni większość jego mieszkańców.

Niepodobno dokładnie określić dziejów Będzina, wiele dokumentów zginęło, wiele zużyto jako makulaturę, wiele wywieziono. Te nigdy nie dostaną się do rąk badacza.

Na zakończenie nadmienić wypada, że obecnie istnieje Towarzystwo Opieki nad Górą Zamkową i że istnieje projekt odbudowy zamku i umieszczenia w nim muzeum Zagłębia.

Jeżeli ktoś przyjedzie do Będzina po zakupy, niech niezapomni pójść na zamek, przyjrzeć się wspaniałym ruinom, ostatniemu świadectwu dawnej świetności sławnego Będzina.

(Zaczerpnięto z Monografji Zagłębia)

K.

Pan Michał.

Pan Michał prawie niczem nie różnił się od innych górali Witowa; takie same jak wszyscy nosił spodnie z białej wełny wyszywane, taki sam kapelusz i guńkę od święta. Chyba tylko popatrzywszy na jego pociągłą twarz i postać trochę szczuplejszą można było powiedzieć — to Pan Michał.

Górale nazywali go Michałem, boć przecie owce razem pasali na halach, razem spędzali trzynaście tygodni w górach podczas lata, a my mówiliśmy mu Panie Michale.

Prowadził on sklep Kółka Rolniczego. Często przychodziliśmy do niego, bądź to wina się napić, papierosów kupić zjeść coś, gdy obiad kolonijny był zbyt skromny. Pan Michał sprzedawał, o co prosiliśmy, zaś kredytował w razie potrzeby; czasem nawet postawił kolejkę wina.

Dzięki grzeczności i uprzejmońci pozyskał sympatję letników, jak i górali, u których miał opinję mistrza do wszystkiego.

Jeżeli ktoś chciał ornamentów na ozdobę budującego się domu, prosił Michała; jeżeti popsuł się w jakiejś chacie komin — znów do Michała; jeżeli ktoś się skaleczył, Michał pięknie bandażował i rana prędko się goiła. Na ciesielce się znał, nawet na szewiectwie.

Często rozmawiał z nami o stosunkach we wsi, o bijatykach popitych górali, o przemytnikach granicznych, żartował z niektórych letników.

Raz zaszedłem do niego, chcąc coś kupić. Ponieważ jednak było dość dużo klijentów, musiałem chwile zaczekać.

Zacząłem się rozglądać po sklepie.

Nagle mój zwrok padł na róg kontuaru... patrzę — jakaś książka... czytam: — „Wesele" St Wyspiańskiego.

— Czyja to książka? — zapytałem

— Moja! — odpowiedział pan Michał spokojnie.

— Czytał to pan?

— Jakżeby to było, żebym nie czytał?

— A zrozumiał pan co?

— Trudne ale potrochu tom zrozumiał. Nie wszystko jednak tam takie proste, jak np. w „Chłopach", bo niektórych miejsc w żaden sposób nie mogę pojąć.

— To „Chłopów" pan też czytał?

— „Chłopów" tom w dwa dni przeczytał. W nocy paliłem świeczkę na strychu, bo mi nie dali w izbie — mówił pan Michał z jaśniejącemi oczami. Śliczności, panie. Pan tak tego nie zrozumie, jak my, bo my żyjemy podobnie.

Dowiedziałem się z tej rozmowy, że pan Michał więcej czytał, niż niejeden maturzysta. Znał Mickiewicza, Słowackiego, Reymonta, Sienkiewicza, Żeromskiego i wielu innych pisarzy. Zachwycało go „Na skalnem Podhalu", bo on to odczuwał, widział podobne rzeczy.

Nie było też przedstawienia, w którem nie grałby głównej roli.

Nie mogli się napatrzeć górale i ciągle domagali się czegoś nowego.

Co niedzielę chodził na odczyty, które wygłaszał w sali Towarzystwa Przyjaciół Witowa, przyjezdny z Zakopanego prelegent; ba... nawet brał udział w dyskusji, zarzucając „pana" mnóstwem zapytań.

Na takiej pogawędce zeszło nam coś ze dwie godziny.

Od tej pory częstym gościem byłemu pana Michała. Za każdym razem przynosiłem mu po kilka książek z naszej bibljoteki.

Żeromski mu się bardzo podobał.

— „Szklane domy" to mi sie niebardzo podobają, ale to oświetlenie i cen-

tralne ogrzewanie przydałoby się naszej wsi — mówił z uśmiechem. Nie musieliby górale jeździć podczas zawiei do lasu, odległego od wsi o osiem kilometrów po drzewo, a wieczorem dopiero możnaby czytać. Szkołę większą wartoby postawić, bo ta za mała, a wiele dzieci garnie się do nauki. Wartoby Kółko Rolnicze rozszerzyć i założyć większą kooperatywę i dom ludowy, gdzie mogłyby się odbywać przedstawienia, odczyty i zabawy.

Hej! czytałbym im dopiero te śliczności i opowiadał co się w innych krajach dzieje. Napewno przychodziliby nietylko starzy, ale i góralczyki, co teraz u Langera piją, i dziewuchy.

Takie to projekty snuł pan Michał, kiedy pochłonął Żeromskiego.

— A dlaczego on tak smutno pisze? — pytał nieraz.

Wtedy musiałem mu tłumaczyć powody pesymizmu Żeromskiego i opowiadać o jego życiu.

— Szkoda, że już umarł — mówił — wskazałby nam nowe drogi do budowania nowej Polski.

— Panie, widział pan pewno w Dolinie Chochołowskiej tablicę ku czci ks. Kmietowicza. Wtedy kiedy brat brata mordował, wtedy tylko z naszej wsi z Chochołowa dwustu ludzi poszło do powstania. Wtedy, w 1846 roku nasi tylko przyszli na pomoc Krakowowi ginąć za Polskę.

My umiemy Polskę kochać, ale nie umiemy pracować dla niej.

— Ale my musimy wszyscy pracować! — wykrzyknął z zapałem twardym jakimś tonem.

— W każdej wsi musi być taki ks. Kmietowicz i Andrusikiewicz. Trzeba zacząć od samych siebie, trzeba zacząć od odbudowy polskiej wsi.

— Zobaczy pan! musi, przysięgam panu, w Witowie być większa szkoła i dom ludowy — mówił z fanatycznem uniesieniem.

Skarżą się dziś starzy ludzie, że za Austrji było lepiej. A czy tak jest w Czechach, gdzie Macierz ze składek groszowych obywateli zakłada setki szkół broniąc masy całe przed wynarodowieniem? Tam każdy jest dumny z odzyskanej wolności.

I snuł pan Michał przeróżne projekta, mające podnieść kulturalnie Witów. Przytakiwałem mu, sam jednak nie wierzyłem w to. Nie chciałem zniechęcać tego inteligentnego górala.

Słomiany ogień — myślałem; przeminie to prędko. Ochłonie pan Michał i będzie wkrótce zdzierał skórę z letników.

Gdyśmy wyjeżdżali prosił mnie o spis książek kursu gimnazjalnego.

— Niektóre wiadomości już mam, niektóre muszę sobie przypomnieć, a już o niemieckim, matematyce, fizyce, łacinie nie mam pojęcia. Trza się uczyć, bo bez tego wszystko na nic. Czasu będę miał dosyć w zimie, bo wtedy dłuższe będą wieczory.

— Niech pan przyjedzie na przyszłe wakacje; — pomoże mi pan, wyjaśnić, czego nie będę rozumiał. Dziękuje panu, że mi pan pokazał inne horyzonty; dziękuję panu, że mnie pan nauczył rozumieć naszych wielkich pisarzy. Niech pan nie zapomni o Michale! — Krzyknął, gdy już wsiadałem na furkę.

Może jednak z tego Michała coś będzie — myślałem odjeżdżając. Niech chociaż liźnie coś nauki. Ale potem ogarnął mnie wrodzony sceptycyzm i pesymizm.

Liźnie coś, będzie się panoszył we wsi, pogardzał innymi góralami, którzy nie będą tacy mądrzy jak on.

Słomiany ogień — dźwięczało mi w uszach.

Minęło coś ze siedem lat. Zapomniałem o Michale i jego postanowieniach. Miałem przecież ważniejsze sprawy na głowie; maturę, studja uniwersyteckie, a w końcu wybicie się na stanowisku.

Co mnie mógł jakiś tam Michał obchodzić. Dawne mrzonki minęły, teraz przyszła naga rzeczywistość — zacięta walka z życiem.

Dopiero przypomniały mi go góry porosłe wysokopiennemi świerkami Dunajec Czarny, szumiący po kamieniach.

Spoglądając na Tatry zasnute błękitami, takie bliskie, wspomniałem pana Michała, gdy jechałem latem z Podczerwonego do Witowa.

Ciekawym, co się z Michałem stało — przebiegło mi przez myśl.

Z radością witałem znajome okolice chaty, rozrzucone sznurem w dolinie kościółek na wzgórku.

— Czy jest u was we wsi Michał Karaś — zapytałem poganiającego konie górala.

Postawił na mnie poczciwina oczy i ze zdziwieniem odparł: — Jakżeby go miało nie być?

— Jak mu się powodzi?

Chłopowina popędził konie — i nic nie odpowiedział. Zdawało mu się, że udaje franta.

Dojechaliśmy do wsi.

Z ciekawością rozglądałem się po chatach. Może zobaczę dom ludowy — pomyślałem dla żartu.

Nagle z zakrętu wyłonił się wspaniały budynek w stylu zakopiańskim.

Znów sobie jakiś dorobkiewicz postawił — przebiegło mi przez myśl.

Zakomotało mi serce, gdy mój furman wyciągniętym batem wskazał na willę i z dumą powiedział: — „Nasz dom ludowy".

Usłyszawszy to miałem wrażenie, że dostałem policzek. Dom ludowy, dom ludowy Michał postawił, a ty durniu coś zrobił dobrego? — mówiłem do siebie. Michał prosty góral, a ty inteligencie z uniwersyteckiem wykształceniem tylko krytykować potrafisz.

Wyskoczyłem z furmanki i poszedłem do sklepu Kółka Rolniczego, który mieścił się na parterze.

W obszernej, widnej sali, pełnej najrozmajtszych towarów stał pan Michał i obsługiwał klijentów.

Poznał mnie odrazu.

— Pan Józef! — wykrzyknął radośnie. Franek, poproś pana do pokoju zawołał na sklepowego. Zaraz tam przyjdę.

Po chwili zjawił się. Zaczęliśmy rozmowę, a właśnie on mówił, bo ja wolałem słuchać.

Trudno mu było dopiąć celu. Ileż to przeszkód musiał pokonać, ileż go zabiegów kosztowało, żeby ludzi pozyskać do swego projektu. Buntował ludzi Langer, karczmarz, ale nic nie skórał. Pan Michał pomału, wytrwale robił swoje. Zaczął od przedstawień, — na które z okolicznych wsi nawet górale tak tłumnie przychodzili, że sala okazała się za mała. Wtedy to zobaczył konieczność domu ludowego, ale dużo musiał się wygadać, naprzekonywać, zanim zgodzili się na jakie takie składki.

Oprócz tego urządził różne odczyty i pokazy rolnicze, na które znów schodziły się tłumy. Przedstawienia i odczyty przyniosły dość znaczny dochód.

To też po upływie czterech lat przystąpiono do budowy domu, a w piątym roku mogły się odbywać w obszernej sali na piętrze przeróżne pogadanki z przezroczami, zabawy, przedstawienia.

Na dole mieścił się sklep kooperatywy, który dzięki poparciu ludności znacznie się powiększył. Pan Michał, jak dawniej był w nim kierownikiem.

Pokazał mi potem pan Michał szkołę, ogromny budynek w stylu zakopiańskiem.

— Takiej szkoły nie znajdzie pan na całem Podhalu — mówił, kiedy mnie

oprowadzał po obszernych klasach Nauka idzie na dwie zmiany, a dzieci tyle że po pięździesięcioro w jednej klasie. Ze wszystkikh okolicznych wsi chodzą do nas dzieci.

Wybudowaliśmy budynek, dzięki poparciu ministerstwa oświaty, które nie szczędziło kosztów. Najwięcej jednak przyczyniła się do budowy ludność naszej i okolicznych wiosek. Ile to trzeba było starań, aby dostać pieniędzy na budowę. Wyszliśmy na ulicę, bo pan Michał chciał mi pokazać zboża.

— Dzięki nawozom sztucznym zwiększyła się wydajność stokrotnie — mówił, pokazując na dosyć ładny owies, żyto. I to wszystko dzięki naszemu Kółku Rolniczemu.

— Dzięki panu — dorzuciłem.

— Co tam ja — odparł skromnie. Wie pan co? — teraz kombinuję, jakby tu założyć elektrownię dla całej wsi, ale to będzie może za dziesięc lat, a może znacznie później. Miejsce już znalazłem, niedaleko tartaku.

— Jak tam z nauką pana?

— Cały kurs gimnazjalny przerobiłem, śmiało mógłbym maturę dostać.

— Dlaczego pan dalej się nie kształci?

— Uczyć tam, to się jeszcze uczę, ale dalej nie poszedłem. Widzi pan, gdybym wstąpił na uniwersytet i ukończył go obcym byłbym dla wszystkich z mojej wsi. Nie rozumieliby mnie, trzymaliby się ode mnie zdaleka, gdyż uważaliby mnie za takiego „jenteliegenta", co ich chce podejść i oszukać. Z ludźmi się zżyłem, wierzą mi, radzą się. Tak więcej zrobię.

— Ma pan rację, — przytaknąłem mu.

— Teraz jestem człowiekiem i to człowiekiem dzięki panu. Czembym był, gdyby nie pan? — góralem, który marny owies sieje, biedę klepie i opija się co pewien czas.

A teraz?

Pan mię wykierował na człowieka, za co do śmierci będę panu wdzięczny.

— Niech pan da spokój, panie Michale – przerwałem mu bo mnie wstyd wielki dławił,

Zabawiłem u niego kilka dni. Dopiero tutaj w Witowie odżyłem, zmieniłem się zupełnie. Stałem się innym człowiekiem.

Po powrocie do Warszawy zabrałem się do pracy nietylko nad sobą, ale i nad innymi. Wierzę, że praca moja również plon jakiś wyda, a zachętą w niepowodzeniu jest mi Michał. Jego to postać staje mi przed oczyma, jego słowa—„musi być!" są podnietą do dalszej pracy, ilekroć mię dawny sceptycyzm i zniechęcenie zacznie ogarniać.

„OLGA"

Polsko!

Przez Twoje pola, rzeki i wzgórza,
idzie szum jakiś dziwny, nieznany,
a uderzywszy o Tater podnóża,
wraca wichru powiewem porwany!

Czyliż to lasy i knieje tak gwarzą,
nad Wisły, Niemna czy Bugu brzegami,
czy tabun koni pędzi ziemią wrażą,
czy burza huczy nad Polanami?

Hej! — to nie burze, ni konary drzew
mówią tym głosem silnym potężnym,
lecz oto szczęścia i wolności śpiew,
biegnie ku Tatrom, ku ich szczytom śnieżnym...

— — — — — — — — — —

Powichrzyły się wody szalone,
Fale przechodzą w bezbrzeżne chaosy,
z potężnej piersi morza wyrzucone,
jak wichry stepowe szumią te głosy...

Szumią o walkach, o zaciętych bojach,
na których się polskiej lały krwi fale,
o trudach wojennych szumią i zwojach
i o zwycięstwie, wolności i chwale!

— — — — — — — — — —

... głos idzie z piersi rzucony w przestworze.
Polsko! to mówi Twoje morze...!

„Es“

IDZIE KRYTYKA.

Co „Es“ myśli.

Wiersz pisać łatwo,
łatwo jest rymować,
a ty szkolna dziatwo,
ucz się krytykować!

Piszę to dlatego,
bo w pierwszym numerze,
było coś dziwnego!
to był wiersz? — nie wierzę!

Gniewać się nie może,
kto na „tęczę“ czeka,
lecz słuchać w pokorze,
bo „tęcza“ daleka!

Daleka dlatego,
bo wierszyk ten przecie,
według zdania mego,
jakoś się nie plecie!

Bez rytmu równego,
bez sensu i treści,
bez rymu zgodnego
cóż on w sobie mieści?

„Melodykon stary“
posiada „tonacje“,
„Wiatr jęczy“ bez miary,
„przeróżne warjacje“!

„Modrzew się kołysze“,
„wiatr dzwoni rapsodje“,
„pożółkłe klawisze“
i „śpiące melodje“,

We śnie, czy na jawie,
fantazją zrodzone
każde zdanie prawie
trzykropkiem skończone!

Taka to jest smętna
do jesieni oda,
wcale nie ponętna,
choć podpis brzmi „Doda“!

„Es“.

Rubin.

Stanowił w Dąbrowie charakterystyczną postać.

Nie z tego powodu, że był żydem, bo narodowość ta zajmowała znaczny odsetek ludności w mieście, ani też nie dlatego, że różniło go od współziomków zajęcie rozwoziciela węgla, ale, że miał taką niezwykłą postać, która przyciągała uwagę i rzucała się w oczy każemu. Właściwie nietyle cała postać, ile sama fizjognomja.

Czarne, krzaczaste, ciągle zesunięte brwi, obejmowały szerokiemi stykającemi się łukami, jakby nawiasami, długi, dość prosty nos i zasuwały pod siebie ciemne, wschodnie oczy, stale gdzieś, z jakimś bólem zapatrzone. Szczerwieniała od wiatru i mrozu skóra, wschodnio-czarny zarost i takiesame, skręcone na głowie włosy, przysypane bardzo często, jak zresztą cała twarz, czarnym, węglowym pyłem mówiły, że to człowiek pracy fizycznej.

Jeśli go się spotykało na ulicy, to zawsze obok małej, niskiej furki, ciągnionej przez wynędzniałego i dość steranego kucyka. Co rano, z turkotem zjeżdżała ta furka z górnej części ulicy pusta, spiesząca coprędzej pod bramę kopalni, gdzie łączyła się z długim sznurem jej podobnych, wyczekujących kolejką na ładunek węgla, który miała przewozić w różne odległości miasta, usługując ludziom. Rubin, bo tak się ta postać nazywała, zżył się z furmańską bracią, wchłonął w siebie jej zwyczaje, przejął gwarę i tak zrósł, że nie było nigdy mowy o jakichś tam docinkach, łączących się z jego żydowskim pochodzeniem.

Do tej życzliwości przyczyniała się w znacznej micrze jego niezbyt groźna konkurencja, bo mała furka mogła zmieścić co najwyżej osiem korcy węgla, a i kucyk nie uciągnął więcej podczas, gdy inni zabierali na jedno załadowanie, blisko trzy razy tyle. Rubin był małomówny i nigdy nie brał udziału w ożywionych dysputach towarzyszy. Gdy mu się znudziło bezczynne czekanie na węgiel, pod bramą kopalni szedł do kucyka i coś tam poprawiał, odpinał zapinał — oglądał koła, osie, kłonice, poczem znowu stawał sobie bezczynnie i milczał.

— A po jakiemu to wy Rubin nic nie gadacie? —zagadywali go nieraz współtowarzysze, ale on zawsze odpowiadał im jednakowo:

— Sii!... A cóż mi tam z tego przyjdzie.

Tak się już składało, przyjęło i tak było stale.

Rubin bowiem wolał myśleć, niż gadać z właściwą swej narodowości cechą. Ale nietylko ta cecha wpływała na jego ciągłe milczenie.

Rubin miał oprócz swych zawodowych kłopotów jeszcze rodzinę, mieszczącą się w dwu ciemnych, dość brudnych izbach, mocno odrapanego domku.

Rodzinę stanowiła podstarzała, chorowita żona, dwie ospowate córki i dwóch anemicznych „szajgeców" w płaskich jarmułkach i siwych, poplamionych, wystrzępionych od dołu hałatach. Ta właśnie rodzina pochłaniała naiwiększy procent myśli Rubina.

Zawód woźnicy, jakkolwiek dawał na utrzymanie rodziny sumę, to jednak nic ponadto.

A marzeniem Rubina i jego żony, skrytem marzeniem, o którem tylko oni oboje tylko wiedzieli, było uskładanie takiej sumki, któraby pozwoliła założyć jaki taki sklepik dla Salki i Racheli. To dałoby im utrzymanie, a z czasem może, gdyby się sklepik rozwinął, i męża której z nich.

Szczególnie takie myśli Sarze nie dawały spokoju.

— Postarałbyś się o jaki inny fach, bo z tem furmaństwem to tylko biedy użyjemy — nękała często męża, popierając swoje słowa mnóstwem dowodów.

— Patrz, taki Unger niedawno łokciówkę po domach roznosił, a dzisiaj pan całą gębą. U niego zawsze ryba na szabas i pieniądze w kieszeni. A ty co? Dziad i jeszcze raz dziad, a my przy tobie dziady, nawet porządnej czapki aksamitnej nie możesz sobie kupić, aby choć w święto paradnie wyglądać. A ja?. Już rok w jednej sukni chodzę i ostatni płaszcz wydzieram. Salka tak samo, a Rachela nawet już wydzierać niema co.

I zwyczajem, przyjętym od sąsiadek gosposi, roztkliwiła się przy końcu nad swoją i córek niedolą, wylewając rzęsiste łzy.

Ty, Sora nie pleć głupstw. Jesteś baba a na takich sprawach się nie znasz. Pilnuj garnków, a jak ci źle, to bierz kosz z cebulą i leć z nim handlować. Ja, kiedy uskładam pieniędzy, to bez twojej pomocy sklep założę!

Dnie, tygodnie, miesiące, a nawet i lata mijały, lecz sumy tej nie można było zebrać. Do dwustu złotych, uzbieranych z wielką męką, a pożyczonych jakiemuś niebogatemu kupcowi na procent, nie przybył od dwu lat ani jeden grosz więcej. Nawet odsetki odnoszone regularnie przez owego kupca nie mogły być odkładane, bo zarobek nie powiększał się, a wydatki domowe wraz z dorastaniem córek i synów rosły również.

Dorastające córki coraz częściej domagały się pieniędzy, a ze zbliżaniem się każdych świąt zasypywały ojca tysiącem najróżnorodniejszych próśb i życzeń, oczywiście w ogromnej większości niespełnionych.

— Tata, patrz jaką mam sukienkę — mówiła Salka chwytając za dolny fałd dość wytłuszczonej i porzniętej spódniczki. — Ludzie śmieją się z nas i nazywają dziadówkami.

— A ja to co?—mieszała się do rozmowy młodsza siostra. — Salka dostała już nowy fartuch, a ja w starych gałganach jeszcze chodzę i nikogo to nic nie obchodzi. Wszystko tylko Salce i Salce. A jak robić, to jej się w domu nie chce i siedziałaby jak spróżniaczona kwoka.

Na taki poniżający przydomek Salka nigdy nie mogła się zgodzić.

— A ty sroko, latasz jak fryga tobyś się tylko w nowe ubierać chciała.

— Widzicie ją, ona to nie Sala. Siedzi w domu i orze od rana do nocy, bo Rachela lata w dziurawym kapeluszu. Tata, patrz! Trzy lata w tem wypłowiałym pudle chodzę, aż się Ajsmanówny śmieją, że się w nim wróble gnieżdżą.

— Będziesz cicho, ty smarkatko frygo! Bo jak cię palnę tą warzechą, to ci się zaraz kapelusza odechce! — próbowała atakować Salka, zdając sobie doskonale sprawę, że z kupnem kapelusza, nowa sukienka przemienia się tylko w pobożne, ale niespełnione życzenia.

— Spróbuj tylko, to ci ten garnek z pomyjami o głowę rozbiję — broniła się Rachela. – Tata i tak widzi moją krzywdę!

Rubin nie mógł w żadnym wypadku wypadku dopuścić do tego, aby jego córkę nazywano dziadówką, a z drugiej strony, aby się Ajsmanówny wyśmiewały z kapelusza Racheli. To też pieniądze wypływały z jego kieszeni zabierając ze sobą nadzieję założenia sklepu.

Z tego więc powodu Rubin z każdym dniem stawał się bardziej małomównym. Jego postać przybierała coraz posępniejszy wyraz, brwi coraz bardziej się zasuwały, a usta wykrzywiały jakimś grymasem, czy bólem. Tego zaś roku z nadejściem jesieni i połączonych z nią słot, zachorowała mu na płuca żona. Z początku utykała jeszcze po domu, lecz po miesiącu położyła się już do łóżka.

Pewnego wieczora, kiedy Rubin skończył rozwożenie węgla, zamknął furkę i kucyka w chlewie, udał się do magazynu kolejowego po owies. Wracał już gdy na jakieś dziesięć kroków od schodów, wiodących do magazynu, coś nagle mignęło mu

na ziemi. Leżała w tamtem miejscu rozgarnięta kupa ziemi, a więc wśród różnych śmieci mógł znaleźć się kawałek szkła, który odbił światło pobliskiej elektryki, ale Rubina błysk ten zainteresował. Niesiony worek był dość lekki, więc zbliżył się kilka kroków i pochylił nad miejscem, w którem spostrzegł błysk. Wśród starych grudek leżała dziesięciogroszówka.

Ach, jak mu zabiło serce, gdy obok spostrzegł pomięty banknot dwudziestozłotowy, a obok niego świstek kilku podobnych. Obejrzał się czy kto nie patrzy, szybko pozbierał i schował pieniądze do kieszeni, nie zapominając przedtem chuchnąć na nie w celu zabezpieczenia szczęścia. Razem było przeszło sto złotych. Prawie pędem przybiegł do domu, aby jaknajwcześniej podzielić się radosną nowiną.

Kiedy jednak zbliżył się do łóżka żony, spostrzegł, że dyszała ciężko, na wychudłych policzkach miała krwiste wypieki, a oczy szkliste i jakby nieprzytomne. Niewiele też rozumiała z tego co mówił, a tylko kiwała w milczeniu głową położoną na mocno wytartej i spoconej poduszcze. Popatrzał w jej szkliste oczy, a potem rozejrzał się po mieszkaniu. Było jakoś cicho i pusto. „Szajgece“ nie hałasowały w przyległej izbie, a i córki nie kłóciły się, jak zwykle ze sobą. Żółte światło naftowej lampy wypływające przez zakopcone szkło nurzało wszystko dokoła w jakimś tajemniczym, niezmiernie smutnym kolorze. Cienie wymykające się z kątów, wypełzające z pod przedmiotów, ciągnęły za sobą jakiś grobowy mrok.

Rubin zapatrzał się w przedmioty, ale nie myślał o niczem. Z wyczerpanego pracą i zmartwieniem umysłu uciekła gdzieś uwaga i myśli, a miejsce ich zajęła monotonna obojętność. Blaszany krążek przy lampie, stojącej na mocno wyszczerbanym stoliku, służący za reflektor i zastawiający światło od strony chorej, rzucał ogromne ciemne koło cienia na szaro-białawą ścianę z odpadłym gdzieniegdzie od wilgoci tynkiem, mrocząc połowę mieszkania. Pochylona na jeden bok, nawpół zmurszała szafa kryła poza sobą jakąś złośliwą, matową przestrzeń. Stojący piecyk żelazny, wystawał z jednego kąta ukazując poza sobą ciemnoszarą plamę kopciu. Nie zamieciona i niewiadomo dlaczego nieumyta podłoga dopełniała ten ponury obraz.

Kiedy się ocknął, zauważył u żony szybszy oddech i powieki przymknięte do snu, przez co zarazem przypomniał sobie znalezione pieniądze. Wysunął się cicho z mieszkania i pobiegł po doktora.

Było w Dąbrowie kilku żydów lekarzy a Rubin wybrał z nich tego który znał się najlepiej na chorobach. Było już dość późno, ale po długim dzwonieniu wpuszczono go do przedpokoju. Jakaś łużąca-Polka powiedziała mu, żeby zaczekał „aż doktór poprosi do gabinetu“, a sama zwróciła się do zalanej światłem kuchni. Przez otwarte drzwi buchał stamtąd zapach przyrządzanej pieczeni, przesyconej cebulą i czosnkiem. Na stole tłuszcze, przyprawy o rozmaitych zapachach, ciasta, potrawy, jakieś sosy, kompoty i butelki z winem mieściły się obok siebie nęcąc wzrok i język. Wszystko to razem w porządku, czysto hygienicznie, tak, jak właściwie potrzeba, aby być zdrowym i spokojnie cieszyć się życiem. Oświetlane pokoje zdały się Rubinowi rajem. Widział już pokoje różnych sztygarów, inżynierów, urzędników ale takiej wygody, takiego przepychu nigdzie jeszcze nie spotkał. I wtedy to przez jedno mgnienie oka, mimo wszystkich trosk i kłopotów przebiegła mu myśl, że jednak ci Polacy mają w części rację, kiedy mówią, że żydom jest dobrze, a nawet za dobrze. Pan doktór siedział w swym gabinecie z jakąś majestatycznie poważną miną. Zgodził się pofatygować pod warunkiem, że mieszkanie Rubina znajduje się przy tej samej ulicy i w dodatku niedaleko. Chorą zbadał dość dokładnie, napisał receptę, a Rubinowi powiedział, że uznał zapalenie płuc, radząc dobre odżywianie i świeże powietrze. Za wizytę kazał sobie zapłacić dwadzieścia złotych ale kiedy popatrzał na mizerne sprzęty,

połatane ubranie, zadecydował, że i dziesięć wystarczy.

Lekarstwo kosztowało drugie dziesięć złotych. a dwa tygodnie choroby wyczerpało resztę znalezionych pieniędzy. Zdrowie jednak chorej polepszyło się już w znacznej mierze i czuła się ona z każdym dniem coraz lepiej, to też Rubin stawał się weselszym. Początkowe mrozy, które złapały ziemię puściły teraz przynosząc kilkanaście pogodnych dni.

dok. nast.

O Fons Bandusiae.

(tłóm. z Horącego, Carminum III. 13.)

Nad kryształy jaśniejsze,
godne hojnej objaty —
kruży wina słodkiego
owiniętej w kwiaty —

Srebrne źródło Banduzji,
jutro na twej fali
ofiarna krew koźlęcia
spłonie w sznur korali.

Ty płyniesz zawsze spokojnie
nie wchłonie Cię susza,
mimo, że ziemia płonie
pod znakiem Syrjusza,
i twego strumienia
woły zmęczone, mdłe bydło upadło;

(Szukają wytchnienia, porzuciwszy radło)

Ty będziesz najsławniejsze we wszystkich wód rzędzie,
bo ja oparłszy ręce o lutni krawędzie,
będę opiewał ów dąb,
nad przepaścią skalną,
skąd woda twoja płynie
szemrząc nutę żalną.

DODA.

„Portrecik.“

Wielu z Was, moi kochani, ma specjalną pasję do zbierania najróżnorodniejszych portretów: artystów, gwiazd filmowych, mistrzów sportowych i t. p. „zasłużonych osobistości“. Radzę Wam, załóżcie sobie teraz dla odmiany album w wyobraźni. Na zachętę i dobry początek dam Wam odrazu szalenie interesujący portrecik i to dość ładny.

Jest to mianowicie małe (1.78) chłopczątko o blond włosach, szafirowych oczętach, buzi o ślicznym owalu i t. d.

Na jego cudnej twarzyczce rysuje się co chwila inne uczucie: głębokiego zainteresowania i szacunku dla objaśniającego, gdy czyta pod ławką romans, wielkiego i... szczerego rozczulenia, gdy opowiada o swej „idealnej“ miłości, w którą niestety „piorun trzasł“, nadzwyczajnej powagi i doświadczenia, gdy przy opowiadaniu lekcji przytaczać coś mądrego i ciekawego, zresztą z przeczytanych dzieł, przeważnie „gorąco zalecanych przez cenzurę.

Gdy wpadnie w zapał oratorski, trzeba się trzymać zdaleka, bo ma dość żywą gestykulację.

Trzeba mu jednak wybaczyć, bo jest wielkim realistą, chce przedstawić rzecz naturalnie i plastycznie, aby nikt (broń Boże jaki smętno-głupi romantyk) nie musiał się zwracać z wyjaśnieniami do swej bójnej wyobraźni.

Że będzie z niego „coś“ to przebija z całej postawy. Co za wspaniała pewność siebie!

Głędoko obznajmiony i znudzony wszelkiemi naukami o dobrym tonie, zdołał się z nich już dawno wyzwolić. Z ogromną, czarującą wprost gracją zakłada przy rozmowie z kimkolwiek nogę przynajmniej na pół metra wyżej od poziomu, na którym stoi, np. na pólpity ławek. Ziewa poprostu uroczo! Wyciąga się tak rozkosznie, wygodnie. Coś przyjemnego! Jedno na niego spojrzenie wprawia w cudowny, harmonijnie wdzięczny rozhowor całą klasę.

Broń Boże wleźć mu za skórę krytyką jego rozumowań albo poglądów, bo wtedy robi tak wymowne, rozbrajające oczy, że można się uczuć w siódmem niebie.

Każdy zdecydowany krok jego do przyszłości pod hasłem „forsa to grunt!“

Ale jaki czasem łaskawy! Raczy wyskoczyć na ławkę i zaśpiewać boskim głosem „Hiszpańskie tango“.

Otacza go wtedy koło wielbicielek tak zasłuchanych, że nie obudziłby ich nawet głos Księdza Dyrektora, wygłaszającego pochwalne przemówienie na temat: „Regularne uiszczanie opłat szkolnych“, bo czaruje jak Orfeusz.

Że jest dość mądry — to fakt! Widać to z życzliwych twarzyczek kolegów, którzy radziby go w łyżce wody utopić, słysząc jego (nawet czasem dobre) odpowiedzi.

Nie zna przeszkód, ani nie znosi czyjego uporu. Nie może mu się pomieścić w głowie, aby ktoś z klasy, a więc napewto niższy umysłem, mógł mu się w czemkolwiek sprzeciwić. Tchnie swobodą myśli, słowa i czynu. Jednem słowem typek nadzwyczaj sympatyczny!

Czy i Wam także się podoba.

„DUCH POŚREDNI“

FELJETON.

Lekcja w zarysie.

— Lekcja, profesor uczniowie,— jaka? gdzie? w jakiej klasie? bez domysłów, podstępne myśli na bok, pytania również, nie wyciągniecie zemnie słówka. Cisza!

Profesor wchodzi... mina... lwa srogiego (zazwyczaj mężczyznę porównuje się do „lwa salonowego“, lecz tu inaczej nie można) i chęci jemu pokrewne, bo wygląda jakby uczniów chciał ujarzmić swym wzrokiem i zjeść razem z bruljonami na drugie śniadanie.

— Trzy kroki naprzód, katedra, pióro — skrzypnięcie w dzienniku, lekcja.

— A uczniowie? No, uczniowie, bez przesady, miny mają na pół pytające, na pół oczekujące — co będzie? i jak będzie?

— Patrzą na twarz profesora, twarz sfinksa, którego oczy lekko „satanicznie“ zmróżone, zwrócone są na klasę.

— Oczy te szukają „ofiary“ mającej zacząć lekcję t. zn. odczytać swoją pracę, lub odpowiedzieć na pierwsze pytania, które najgorzej jest zrozumieć, gdyż umysły nie weszły jeszcze w „trans“ i nie działają sprawnie, (a profesor wielbiciel bon-ton'u mówi przez nos i zęby).

A co zatem idzie w następstwie, ironją zaprawne wymówki, czasem szydercze skrzywienie twarzy, oznaczające mniej więcej — „taki półgłówek znalazł się w... klasie, jakimże cudem“?, — lub bardziej finezyjne i literackie porównanie u s t n e

„I wasze gwiazdy o zdobywcy młodzi — w ciemnościach pogasną znów!“

Oj! taka to dola uczniowska. Niejednemu wówczas przejdzie przez głowę; „Psiakość to życie takie złe“, ucz się dwanaście godzin na dobę, gdy w kinie „morowe“ obrazy, a przytem karnawał... choć w szkole jeszcze lepszy gdy masz „tańczyć“ myślą po literaturze przy melodyjnej „muzyce“ słów profesora. Koniec lekcji lekcji czasem jest gorszy, czasem... lepszy, o środku przemilczę...

— Biedni męczennicy wiedzy, wśród których znajdują się ukryte talenty, genjalne głowy, jako brylanty nieszlifowane i nieoprawione, lub czarne perełki między białemi.

— Nic to! „I dla nas przyjdzie dzień uznania — panami — wówczas będziemy!“

EMKA

Komunikaty Wenga.

— Czy wiecie że wszystkie nakłady „Błyskuwicy“ od nr. 1 — 20 kosztowały 3,090 zł.

— nie wszyscy prenumeratorzy wypełnili swe zobowiązanie.

— w czwartek dnia 11 lutego na piątej lekcji p. prof. Kupka i p. Dr. K. Gołba wygłosili odczyty przeciw alkoholowe, wzywając młodzież do zapisania się do „Złotej Księgi“.

— Kółko Krajoznawcze rozwiązało kwadraturę Koła, gdyż w zarządzie kółka są cztery osoby.

— nasz kwartalnik jest czasopismem ilustrowanem.

— opłaty szkolne za II-gie półrocze zosłały podwyższone na 110 zł.

— Kółko krajoznawcze nie przesyła Redakcji sprawozdań ze swej działalności.

— wszyscy mają długi.

— wszstkie komplety „Błyskawic“ zostały rozsprzedane.

— artykuły i wszelkie ilustracje do następnego numeru należy nadsyłać do dnia 15-go marca.

— dnia: 1, 2, 3, 4 i 5-go marca odbędą się rekolekcje dla Uczenic i Uczniów tut. zakładu.

— wszyscy powinni się starać o ogłoszenia dla „Błyskawicy“.

— „Reklama jest dźwignią handlą“ powinni się więc wszyscy ogłaszać w „Błyskawicy“, jedynem czasopiśmie szkolnem wychodzącem w Roździeniu-Szopienicach.

— materjały spisowe pomieszczono tylko w 40-tu wagonach kolejowych.

Komunikaty.

NADESŁANE. Otrzymaliśmy numer „Nowin Krajoznawczych“ tygodnika Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej. Jest to jedyne w Polsce tygodniowe czasopismo krajoznawcze. „Nowiny“ zawierają ciekawe artykuły dla miłośników krajoznawstwa: „Koszykarstwo w okolicach Krakowa“ i „Urok kajakowej wędrówki“. Dodatek do „Nowin“ „Nasza Radość“ zawiera przeważnie humor i satyrę.

Odpowiedzi Redakcji.

„Portret“ — słabe — nie umieścimy.

„Alarm“ — wiersz dobry, lecz nie na czasie — umieścimy na drugi rok, na razie nie mieścimy.

„Mój Kącik“ — dóżo błędów, pismo nieczytelne — nie umieścimy.

Humor.

Zebrał Boy.

Nauczciel: Dlaczego modlimy się o chleb powszedni codzień?

Uczeń: Bo gdybyśmy się modlili o chleb na cały tydzień, to musielibyśmy jeść czerstwy.

* * *

Matka posłała dziewczynkę do rzeźnika, czy niema on nóżek cielęcych.

Dziewczynka wraca:

— Cóż, ma nóżki cielęce?

— Nie wiem mamusiu, on był w butach.

* * *

Posiadam rzadki dar odgadywania, co kto o mnie myśli.

— Oj, to musi być bardzo nieprzyjemne!

* * *

W SZKOLE.

— Dłubalski, ile jest połowa ośmiu?

— Nie wiem, proszę pana psora.

— Uważaj, przypuśćmy, że dwaj złodzieje skradli razem ośm złotych. Jeżeli się podzielą, to po ile dostanie każdy?

— Co najmniej po dwa tygodnie.

* * *

DOBRY CZYN.

Ojciec leży chory w łóżku i woła na syna leżącego na piecu.

— Wstań-no synu i podaj mi wody;

— Ojcze śpijcie cicho.

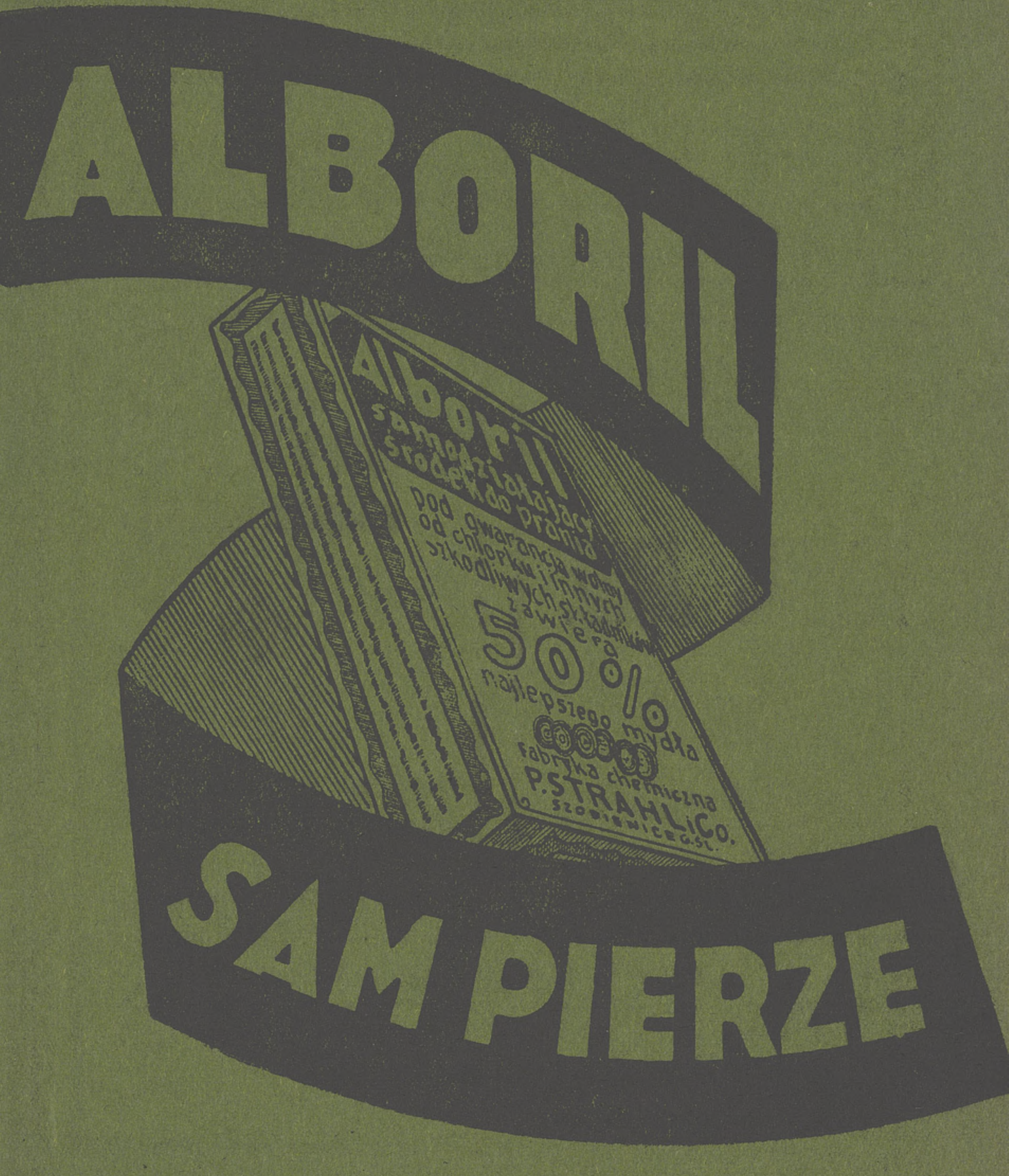
Młodszy co spał na ławie mówi:

— Nie proście ojcze darmo tego leniucha, ale wstańcie sami, napijcie się i mnie po drodze podajcie.

* * *

Komitet Redakc.: W. Engelking, I. Magrysiówna i Z. Kowalik. Dyr. wyd. K. Cieplak.
Wydawcy: uczenice i uczniowie Kom. Gimn. Koed. W Roździeniu-Szopienicach.
Redaktor odpowiedzialny i opiekun dr. Kazimierz Gołba.

Druk, „Nakładowa“ Będzin, Kościuszki 20, telefon Sosnowiec 12-08.


ALBORIL
Alboril
samodziałający
środek do prania
pod gwarancją wolny
od chlorku i innych
szkodliwych składników
zawiera
50 %
najlepszego mydła
Fabryka chemiczna
P. STRAHL i Co.
SZOPIENICE G. ŚL.
SAM PIERZE